Nelson S. Bond

Lancelot Biggs, Nawigator

(Lancelot Biggs: Master Navigator)

Fantastic Adventures, May 1940
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

Tego rodzaju rzeczy zawsze przydarzają się mnie. Skończyliśmy przyjmować ładunek o 13:10, czasu Solar Constant Time, i poszedłem do swojej wieżyczki, po rozkazy startowe od oficera kosmodromu Sun City. Włączyłem radio i popatrzyłem w znajomą gębę komandora Allonby'ego.

Zameldowałem:

— Panie komandorze, lugier transportowy *Saturn* przygotowuje się do podniesienia na gravach. Czekamy w gotowości na OQ.

Szczęka mu opadła, jak barometr podczas cyklonu. Wydusił z siebie:

— To ty, Sparks? I *Saturn*? Co wy, na niebieski kosmos, robicie w porcie?

— Nie musi pan tego teraz sprawdzać — poradziłem mu — ale jesteśmy tutaj już od przedwczoraj. I jeżeli już o tym mówimy, pan i ja piliśmy przecież razem ostatniej nocy w Cosmic Bar, pamięta pan?

— Pamiętam? — zawył. — Jakim cudem? Ostatnim razem, kiedy o tobie słyszałem, kapitan Hanson przeciągał *Saturna* przez planetoidy podczas jakiegoś zwariowanego eksperymentu z transmutacją! Kiedy wróciliście? I jak mógłbyś…?

— Cholera! — jęknąłem. — I jeszcze raz cholera!

Wiedziałem, co się stało. To przez ten przeklęty wynalazek Lancelota Biggsa. Przez tę przeklętą uranową anodę radiową, która aktywowana przy niskich emisjach, działała jak coś co można by nazwać „pułapką czasową na słowa".

Innymi słowy, rozmawiałem z Allonbym nie takim jaki byłby teraz, ale takim jaki był pięć miesięcy temu!

Nie pytajcie mnie, jak to działa. Dla mnie samego to nieznane terytorium. W każdym bądź razie pokręciłem głową, przesunąłem tarcze ustawień wybierając Allonby'ego na bieżącym poziomie czasowym, odebrałem polecenie startu i przekazałem je na mostek. Niemal natychmiast zadźwięczał dzwonek, potem zadzwonił kolejny, i przez statek przeszedł powolny, buczący dygot, kiedy nasze hypatomiki złapały ciąg. Zaparłem się przed wznoszeniem…

I nagle! Dokoła rozbłysły gwiazdy, jakby siedem mułów kopnęło mnie sami wiecie gdzie, a potem znalazłem się na suficie, skrzecząc jak zarzynana świnia i szamocząc się, aby dostać się z powrotem na dół, do moich pulpitów kontrolnych. Nie musiałem się szamotać zbyt długo. Ponieważ nagle sztuczne gravy zadziałały i wykonałem idealne lądowanie na trzech punktach podparcia – nosie, kolanach i brzuchu – na podłodze.

Pozbierałem się ostrożnie. Żadna z rąk ani nóg nie odpadła mi kiedy się otrząsnąłem, tak więc rzuciłem się na mostek, żeby spytać kapitana Hansona co się stało. Ale właśnie w chwili kiedy dopadłem do swoich drzwi, otworzyły się one od zewnątrz i do środka wszedł sam kapitan. Przeklinał, z ponurą, pozbawioną emocji swadą człowieka, którego opuściły resztki nadziei.

Wtedy już wiedziałem. Spytałem tylko:

— Biggs, szefie?

Jęknął.

— Powiedz mi coś, Sparks. Powiedz mi coś, co oderwie moją uwagę od niego. Obiecałem Diane, że go nie tknę, ale moja wola słabnie. Zaczynam sobie myśleć, jak przyjemnie byłoby…

— Spokojnie, szefie — uspokajałem go. — Pewnego pięknego dnia on sam zadławi się tym swoim jabłkiem Adama. Ale jakim cudem Biggs wykonywał start? Przecież on jest na tej łajbie tylko pierwszym oficerem.

Hanson warknął:

— Nie nazywaj tego pudła łajbą! — Potem dodał: — No cóż, Sparks. W czasie ostatniego rejsu przegrałem zakład z Biggsem. I wygrał prawo do prowadzenia statku podczas następnych trzech kursów na trasie Wenus-Ziemia. Tak więc… — Wzruszył ramionami. — To on dzierży stery.

— Maltretuje — poprawiłem go, — tak brzmi właściwe słowo. Lubię Lancelota Biggsa, szefie. Ale prędzej dosiądę na oklep marsjańskiego ognioptaka, niż skoczę na gravach z nim we wieżyczce. Co by pan powiedział na to, żebyśmy…

Dokładnie w tej chwili drzwi ponownie się otworzyły i tym razem do środka weszła córka kapitana, Diane, za którą podążał nasz niezdarny geniusz, L. Biggs. To był widok wart oglądania. Piękna i Pacan! Znam wenusjański, ziemski standardowy, uniwersalny i, piąte przez dziesiąte, dawny marsjański, ale nie znam słów, które byłyby w stanie opisać Diane Hanson. Była kawałkiem raju, opakowanym w pięcioipółstopową otoczkę. Była mlekiem i miodem, różanym kwiatem, złączonym w jedno drgnięcie serca. Była… cholera, była fenomenalna!

Biggs wyglądał jak „Przed” w standardowym zwrocie reklamowym „Jesteś człowiekiem…”. Był chudy, kościsty, niezgrabny i poruszał się jak anemiczny bocian na łyżwach. Głównym elementem topografii jego postaci było jabłko Adama, podskakujące w górę i w dół szyi jak winda pośpieszna. Znałem Biggsa od sześciu miesięcy i ciągle jeszcze nie mogłem się zdecydować, czy był on gigantycznym geniuszem, czy najszczęśliwszym śmiertelnikiem w kosmosie.

W tym momencie, zarówno on jak i Diane, jarzyli się na twarzach uśmiechami od ucha do ucha. Obrzucając swojego narzeczonego pełnym dumy spojrzeniem, córka kapitana oświadczyła:

— Czy to nie wspaniale, tatku? Lancelot wykonał ten start zupełnie sam. Czy to nie było coś?

Hanson lekko się zadławił. Ruszyłem mu na pomoc. Zupełnie uczciwie odpowiedziałem jej:

— To było naprawdę coś. Jeszcze do końca nie wiem, co. Jak tylko rozjaśni mi się w głowie…

Pan Biggs przerwał mi przepraszająco.

— Bardzo mi przykro, jeśli spowodowałem jakieś niedogodności dla ciebie, Sparks. Próbowałem nowego rozwiązania. Zamiast użyć wszystkich

rakiet rufowych, do wystrzelenia nas z portu kosmicznego Sun City, zastosowałem pojedynczy ciąg i odwróciłem grawitację statku. To dało nam automatycznie odepchnięcie od planety i…

— Co! — zaryczał stary. — Proszę mnie posłuchać, panie Biggs, jeszcze jeden szalony wyskok, podobny do tego, i zdegraduję pana, zakład czy nie zakład! Skaczę na gravach od niemal czterdziestu lat i może pan przyjąć na słowo, że takie nonsensowne pomysły nie będą działać! To tylko strata paliwa i…

— Ale — wtrącił Biggs — właśnie sprawdziłem to z maszynownią, panie kapitanie. Oni… skarżyli się co prawda na tę chwilę nieważkości, ale przyznali, że zaoszczędziliśmy w ten sposób około sześćdziesięciu procent naszego normalnego zużycia paliwa.

— Co pan do diabła powiedział! — Szczęka kapitana Hansona zaliczyła dotknięcie kości mostkowej. Potem pozbierał do kupy całą swoją godność osobistą i wyrzucił ją w oburzonym parsknięciu: — Pomimo wszystko — oświadczył — i tym niemniej, ten wyczyn jest do kitu. Jeśli bliżej się pan przyjrzy jego efektom, najprawdopodobniej stwierdzi pan, że zeszliśmy co najmniej o stopień z kursu i jesteśmy poza rozkładem…

Dokładnie w tej samej chwili zabuczało audio. Włączyłem je i połączyłem się z drugim oficerem, porucznikiem Dickiem Toddem, dzwoniącym z mostka. Todd rzucił radośnie:

— Cześć, Sparks. Powiedz panu Biggsowi, że właśnie skończyłem sprawdzanie korekty kursu, dobrze? I powiedz mu, że ta jego mała sztuczka, to był prawdziwy strzał w dziesiątkę. Taśmy wskazują, że zyskaliśmy dwa parseki na normalnej prędkości ucieczki i jesteśmy, ho-ho-ho, dokładnie na kursie!

Ten gwałtowny huk który się rozległ, to był kapitan Hanson i jego godność zatrzaskujący wspólnie razem za sobą drzwi…

Kiedy wyszedł, zakaszlałem delikatnie pod adresem Diane i Biggsa, którzy najwyraźniej uznali, że moja wieżyczka jest ostatnim rzędem siedzeń w kinie, i kiedy Biggs wycierał szminkę z policzka, stwierdziłem:

— Proszę mnie posłuchać, panie Biggs, nie chciałbym być za bardzo krytyczny, ale te pańskie przeklęte anody radiowe…

I opowiedziałem mu, co się wydarzyło przed startem.

Uśmiechnął się przyjaźnie.

— To tak naprawdę nie ma znaczenia, Sparks. To jeden z tych paradoksów, do których będziesz musiał się przyzwyczaić. Uranowa anoda ma zdolność do przebijania się do przeszłości, ale tylko wtedy gdy pracuje na niskich częstotliwościach.

Zauważyłem:

— Ale ja rzeczywiście rozmawiałem z Allonbym, poprzez pięciomiesięczny odcinek czasu! To właśnie mnie martwi – czy on nie powinien pamiętać tej pogawędki wczoraj, kiedy wychyliliśmy razem parę głębszych, w Sun City?

— Nie. Ponieważ ty nie rozmawiałeś z nim w naszej obecnej linii świata. Widzisz, każdy człowiek porusza się przez czas i przestrzeń w formie serii czterowymiarowych współrzędnych, w zależności od tego, co robi. Pięć miesięcy temu, Allonby nie rozmawiał z tobą. Dlatego nie pamiętał tego wczoraj. Następnym razem kiedy go spotkasz, będzie pamiętał dzisiejszą rozmowę, jako fakt dokonany…

— Proszę mi wybaczyć te skwierczące odgłosy — rzuciłem przepraszająco do Diane. — To po prostu mózg mi się smaży.

— Innymi słowy — kontynuował niewzruszony tym Biggs, — dzisiaj przeciąłeś continuum czasoprzestrzenne pod niezwykłym kątem, przekształcając przez to Teraźniejszą-Przeszłość w Przeszłą-Teraźniejszość i zmieniając Przyszłą-Teraźniejszość. Można powiedzieć, że rozmawiałeś nie z Allonbym, ale z jednym z wielu prawdopodobnych Allonbych. Czy teraz rozumiesz?

— Nie — odparłem. — Gdzie ja tu miałem aspirynę?

— Spróbuję ci to wyjaśnić — nie poddawał się. — To działa mniej więcej tak…

Na szczęście udało mi się to przerwać. Zaczął piszczeć odbiornik, tak więc podszedłem do pulpitu radiowego i powiedziałem:

— Przeplasiam was. Moja musieć gadać-gadać przez ladio. Pa, pa!

Wyszli, wtuleni w siebie jak kilo stopionych czekoladek, a ja włączyłem radio, żeby usłyszeć Joe Marlowe’a wywołującego mnie z stacji Lunar III. Marlowe był w doskonałej formie. Przywitał mnie: „Haloj, nupaso!”, co oznacza „Cześć mazgaju!”.

Odpowiedziałem mu czymś nie nadającym się do tłumaczenia, a potem przeszliśmy do naszych spraw.

— I jak tam działa ta twoja rozpadająca się stara łajba, stary? — spytał.

— Świetnie — odparłem mu. — Mamy geniusza za sterem, romans na mostku i ładunek wenusjańskich ananasów w ładowni. Co przypomina mi z kolei, co u twojej dziewczyny?

— Niech cię kometa, żeglarzu! — warknął w odpowiedzi. — To naprawdę poważna sprawa. Chciałbym cię ostrzec, że lepiej niech to będzie udany rejs. Wiele od tego zależy.

— Może jaśniej?

— Właśnie wyciekły wieści z biura centrali. Rząd postanowił przekazać transport swoich ładunków ekspresowych kompanii, która kolejny normalny rejs na trasie Wenus-Ziemia wykona w najkrótszym czasie. To ma być test i nikt nie powinien o tym wiedzieć. Start *Saturna* z Sun City został odmierzony i czas jego przelotu będzie porównywany z osiąganymi przez inne konkurencyjne liniowce…

Poczułem na czole jakieś zimne punkciki. Otarłem je, ręka była wilgotna. To było trudne wyzwanie dla Korporacji. *Saturn* jest najstarszym kosmicznym lugrem, ciągle jeszcze pozostającym w aktywnej służbie na międzyplanetarnych trasach. Zbudowany został dawno temu, na długo

przed przełomem wieków. Ponieważ nie miał wielu nowoczesnych usprawnień, przelot zajmował mu całe dziesięć dni. Każdy z naszych nowych lugrów, mógł pokonać tę samą trasę w sześć lub siedem; krążyły pogłoski, że *Slipstream*, duma floty Cosmos Company, był w stanie tego dokonać w pięć!

Wyjęczałem:

— Niech to ognie Fomalhauta, Joe, to nie fair! *Saturn* jest najwolniejszym statkiem posiadanym przez Kompanię! Dlaczego nie pozwolą nam wystawić do tego testowego lotu *Spicę*, albo *Antygonę*?

— To jest drobna kwestia polityczna, mój przyjacielu — odparł ze znużeniem w głosie. — A politycy – równa się łapówki. Ktoś został suto posmarowany i chce, żeby ten przydział dostała Cosmos Company. *Slipstream* opuszcza Sun City dzisiejszej nocy. Musicie tylko być na Long Island, jakieś dziesięć godzin przed nim.

— I to wszystko? — zacząłem lamentować. — Jesteś pewien, że nie mamy zatrzymać się gdzieś po drodze i nie wypełnić ładowni półtonowym ładunkiem diamentowego pyłu? Niech to meteor strzeli, Joe…

Przerwał z pośpiechem moje eteryczne szlochy.

— Ktoś wchodzi na nasze pasmo, stary. Muszę już kończyć. Życzę powodzenia!

Wskazówka opadła, sygnalizując zakończenie rozmowy, a ja siedziałem, przyglądając się przerwanemu połączeniu.

I tak zostaliśmy, zdani na własne siły. Najszybszy frachtowiec w kosmosie walczył z nami o najtłustszą zdobycz, od czasu kiedy rząd przepuścił na loterie skarby Fort Knox. Dołożyłem dwie zmarszczki zatroskania na czole, a następnie powędrowałem na dół, znaleźć kapitana Hansona. Wysłuchał moich skarg ze złowieszczym spokojem. Kiedy skończyłem mówić, oznajmił, niemalże radośnie:

— Trudna sprawa, co?

Gapiłem się na niego.

— Szefie, musimy wymyślić jakiś sposób, żeby jako pierwsi dotrzeć do domu! Ten kontrakt rządowy przyniesie co najmniej trzy miliony kredytów na rok. Jeśli przegramy dla Korporacji tę sprawę, przywiążą nas wszystkich po kolei do rufy i odpalą silniki!

Uśmiechnął się tylko demonicznie i wyciągnął swoje kudłate łapska, podstawiając mi je pod nos.

— Widzisz te ręce, Sparks?

— Jestem radiooperatorem — odpowiedziałem mu, — a nie manicurzystą.

— Te ręce — mówił dalej — są czyste jak rurociąg na Plutonie. Zajrzyj łaskawie do dziennika okrętowego. Jako oficer dowodzący na ten lot, wpisany jest tam pan Lancelot Biggs. Co zwalnia mnie ze wszystkich zobowiązań, wszelkiego rodzaju.

Próbowałem go przekonać:

— Ale szefie, tylko pan ma odpowiednie doświadczenie! W alarmowej sytuacji, takiej jak ta…

Pokręcił przecząco głową.

— Sparks, nie mamy żadnych szans na pokonanie *Slipstreama* w drodze na Ziemię. Lepsze miałby już bałwan ze śniegu na Merkurym. Z pełną satysfakcją pozostawię to zmartwienie na głowie pana Biggsa, a jeśli Korporacja będzie na tyle głupia by obwiniać kogoś za naszą porażkę, to z zadowoleniem pozostawię mu również i ten zaszczyt!

I ponownie uśmiechnął się od ucha do ucha.

— Może po tym wszystkim — dodał — Biggs przestanie się tak cholernie puszyć. I może Diane, przestanie o nim myśleć, że jest takim cudem, jakiego zgrywa.

I to było absolutnie wszystko, co szef miał do powiedzenia. Marnowałem czas jeszcze przez kolejne pięć minut, a potem poszedłem szukać Lancelota Biggsa…

Nie było go na mostku. Nie było go w rezerwowej sterówce, w messie czy w ładowniach. Ani w maszynowni. Znalazłem go w końcu w statkowej bibliotece. Leżał rozciągnięty jak długi na dywanie, trzymając w jednej ręce książkę, a drugą wymachując w powietrzu, w rytm czytanego na głos wiersza.

Kiedy wszedłem do środka, uniósł wzrok i powiedział:

— Cześć, Sparks! Przyszedłeś w dobrej chwili. Posłuchasz czegoś naprawdę pięknego. To wiersz wenusjańskiego poety, laureata, Hyor Kandru. Nosi tytuł „Niestety, nieskończoność”. Posłuchaj…

Zaczął czytać.

„… nadciąga wtedy spokój nieskończonej pustki,
Serce szuka wytrwale i, pozbawione tchu, nasłuchuje
Wspaniałej monotonii kosmosu…”

No to przeczyść sobie uszy! Są chwile, kiedy zamieniłbym te wszystkie godziny nasłuchiwania na radiu, na miłą, spokojną, wyściełaną separatkę, gdzieś w dalekim kosmosie, poza Plutonem. Powiedziałem:

— Proszę posłuchać, panie Biggs…

— Wiesz co, Sparks — oznajmił z rozmarzeniem, — czasami zastanawiam się, czy umysł poety nie jest bardziej przenikliwy niż ściśle naukowy. Od czasu kiedy spotkałem Diane, i zaznajomiła mnie ona z symfonią piękna poezji, myślę o tak wielu nowych rzeczach. Nigdy nie przemijające piękno pierścieni Saturna, na przykład. Problem wakuoli przestrzennych…

— Jeśli już mówimy o wakuolach — przerwałem mu, — to pan, ja i około czternastu innych marynarzy ze starego dobrego *Saturna*, może się znaleźć w jednej z nich, i to całkiem szybko – jeśli przez wakuole rozumie pan dziury. Musi pan wiedzieć, że…

I opowiedziałem mu o całej sprawie. Niedola, jak twierdzą pogłoski, jest lżejsza, kiedy dzieli się ją z innymi. Tak więc memu sercu dobrze zrobiło, widząc w jaki sposób zerwał się ze swej horyzontalnej pozycji.

— Ale… ale Sparks! — wydusił z siebie drżącym głosem — to straszliwie niesprawiedliwe!

— Tak samo — zauważyłem — jak zakłady konne. Tylko jeden koń może wygrać, ale zawsze znajdą się chętni do stawiania. Problem polega na tym, co my z tym wszystkim zrobimy?

— Zrobimy? — zapytał piskliwym głosem. — Co my z tym zrobimy? Możemy zrobić bardzo wiele. Idziemy!

Poszliśmy do maszynowni. Główny Inżynier Garrity wysłuchał błagań Biggsa z kamiennym spokojem, a potem pokręcił powoli głową w jedną i w drugą stronę.

— Chyba nie sugeruje mi pan, panie Biggs — powiedział, — że miałbym spróbować podwoić prędkość *Saturna*.

— Musi pan!

Garrity uśmiechnął się smutno, pokazując swą przyprószoną szronem głową, w stronę utrudzonych, staromodnych hipatomików w przedziale silnikowym.

— Te silniki — stwierdził — obliczone zostały do tego, by zanieść nas z Ziemi na Wenus i vice versa, w ciągu dziesięciu dni. Odpowiednio je niańcząc, możemy tego dokonać w dziewięć. Wysilając je do granic możliwości, możemy skrócić ten czas do ośmiu – jeśli się uda. Ale jeżeli przeciążymy je ponad te granice… — Jeszcze raz pokręcił głową. — …przybędziemy do portu rakietowego Long Island w postaci luźnego skupiska resztek prętów, płyt i nitów. Nie spodobałoby się to chyba panu, panie Biggs — dodał jeszcze, z zastanowieniem.

Udaliśmy się więc na mostek i przedyskutowaliśmy problem z naszym młodszym oficerem, Dickiem Toddem. Dick miał mnóstwo pomysłów, ale żadnego dobrego. Nasza rozmowa skończyła się remisem – brakiem decyzji. W końcu powiedziałem:

— No cóż, panie Biggs, obawiam się, że to wszystko mnie przerasta. Lepiej pójdę do swojej wieżyczki, na wypadek gdyby przyszły jakieś nowe wiadomości…

Nawet mnie nie słyszał. Krążył po podłodze, od czasu do czasu delikatnie pojękując i drapiąc się po czuprynie drżącymi palcami.

Wszystko to miało miejsce pierwszego dnia naszego lotu z Sun City. Początek był już kiepski, a potem sprawy gwałtownie zaczęły się pogarszać. Dokładnie o 24:00, czasu Solar Constant Time, dostałem błyskawiczną wiadomość od zaprzyjaźnionego radioamatora z Wenus, informującego mnie, że *Slipstream* właśnie wysunął swoje grawy. Co oznaczało, że wyścig się rozpoczął.

Ha! Jaki wyścig?

Osiem godzin później, nasze ekrany zbliżeniowe wychwyciły *Slipstreama*. Pędził przez kosmos jak srebrzysta strzała. I mogę się założyć o moją ostatnią koszulę, że jego kapitan wiedział jak ważny jest ten rejs. Spałem, kiedy przemknął ze świstem koło nas, ale mój zmiennik

obudził mnie, żeby pokazać wiadomość, jaką jej oficer dowodzący wysłał do nas. Brzmiała ona: „Cześć, pacany! Rzucić wam hol?”

W tych warunkach, nie był to wcale taki zły pomysł!

No cóż, Garrity oraz jego umorusana banda pracowali jak szaleni i ku wiecznej chwale Saturna, muszę przyznać że stary frachtowiec toczył się naprzód we wspaniałym stylu. W ciągu następnych dwudziestu czterech godzin pokonaliśmy nieco ponad trzy miliony mil, czyli około pięćset tysięcy więcej niż wynosiła przeciętna dla naszej łajby.

Zrobiliśmy to również śpiewająco! W rytm muzyki. Płyty kadłuba trzeszczały i jęczały z wysiłku, silniki grzechotały jak gniazdo pełne rozwścieczonych grzechotników, zaś raz czy dwa, kiedy nasze deflektory Morana odrzucały na boki fragmenty materii meteorytowej, myślałem już że torujemy sobie drogę na zewnątrz, by zmienić się w jakiś międzygwiezdny magazyn mrożonek.

I co z tego? Slipstream pędzący z prędkością ponad dwa razy większą od naszej, tego samego dnia spokojnie odwalił dobre sześć milionów! Och, jeśli jakiś wyścig można nazwać ustawionym, to ten z pewnością zaliczał się do tej kategorii.

Drugi dzień był dokładną powtórką poprzedniego. Biggs nalegał byśmy utrzymywali naszą wyżyłowaną szybkość, chociaż Garrity ostrzegał go wyraźnie, że to jest niebezpieczne.

— Spędziłem w kosmosie dwadzieścia lat, panie Biggs — poważnie oznajmił mu Garrity. — Spodziewam się że w taki sam sposób spędzę jeszcze wiele kolejnych. Ale nie mam ochoty mknąć po kosmicznych szlakach jako świecący żużel.

Lancelot Biggs odparł mu desperacko.

— Ale musimy zrobić co tylko można, panie Główny! Przegrywamy, tak – ale musimy pokazać odrobinę woli walki. Wszystko może się zdarzyć. Mogą mieć jakiś wypadek… awarię…

W jego głosie brzmiała patetyczna siła. Po raz kolejny, jak parokrotnie wcześniej, złapałem się na myśli, że ten Lancelot Biggs, zwariowany chłopak jak mogłoby się wydawać, miał w sobie naprawdę ogromne pokłady odwagi. Garrity musiał czuć coś podobnego, ponieważ powiedział, niechętnie:

— No dobra, niech będzie. Ale…

Tak więc, trzeci dzień z kolei, nasze silniki hipatomowe kotłowały się jak stadko marsjańskich kociaków kanałowych, biorących poranną kąpiel. I trzeci dzień z kolei mogliśmy oglądać superfrachtowiec Cosmos Company, *Slipstream*, jako mrugający czerwony punkcik, szybko malejącego blasku odrzutu jego rakiet.

I wtedy to się stało!

Byłem w swojej wieżyczce, czytając sobie kopię *Spaceways Weekly*, kiedy zupełnie niespodziewanie moje radio zaczęło trzeszczeć, a wskazówka kondensatora skakać jak oszalała. Włączyłem je i odebrałem zniekształcone, gorączkowe ostrzeżenie od radiowca na *Slipstreamie*.

— Wzywam IPS *Saturn*! Wzywam IPS *Saturn*! Unik i przygotujcie się na nasz ciąg wsteczny! Unik i przygotujcie się na nasz ciąg wsteczny!

Pchnąłem ostrzeżenie „unik" na mostek i wysłałem pośpieszne zapytanie do operatora *Slipstreama*.

— *Saturn* wykonuje unik, stary. Co się dzieje?

— Kłopoty na linii odchylenia szesnaście-zero-cztery. Zejdźcie z naszej trajektorii! Wpadliśmy w wak…

Wtedy nagle wiadomość urwała się; wskazówka kondensatora opadła na zero. Na próżno pchałem kolejne klucze do operatora, który nie mógł już się ze mną komunikować.

Ale wiedziałem na czym polega problem. Nasz nowiutki, opływowy rywal wpadł nosem prosto w wakuolę przestrzenną!

Do tego czasu Saturn zaczął trzeszczeć i jęczeć jak wściekły owad w materacu sprężynowym; po wszystkich korytarzach rozbrzęczały się dzwonki alarmowe, a silniki przedniego odrzutu robiły potworny hałas, spychając nas z poprzedniej trajektorii lotu. I oczywiście, za każdym razem kiedy któryś z nich buchał ogniem odrzutu, lugrem wstrząsało jak gdyby jakaś potężna pięść waliła go prosto w nos.

Po wejściówce zadudnił tupot nóg, drzwi otworzyły się i do środka wpadli goście. Kapitan Hanson, Diane Hanson i nasz pełniący obowiązki kapitana, Lancelot Biggs. Zaczęli przekrzykiwać się jednocześnie.

— Co się dzieje, Sparks?

— Wakuola! — ostro rzuciłem. — *Slipstream* wpadł na nią. Przygotowują się teraz, do ciągu wstecznego.

Oczy Diane Hanson wyglądały jak dwa identyczne spodki.

— Wakuola? — powtórzyła. — Co to jest? Co to jest wakuola, Lancelocie?

Biggs wyjaśnił jej:

— Dziura w przestrzeni, Diane. Ich dokładna natura nie została jeszcze precyzyjnie określona. Wiemy tylko, że sama przestrzeń może być obiektem materialnego zniekształcenia i od czasu do czasu tworzy wewnątrz siebie samej „puste miejsca" superprzestrzeni. Obszary te odpowiadają z grubsza, dziurom powietrznym, jakie napotykali planetarni lotnicy; są one nawet jeszcze bardziej podobne do swoistych pustych kieszeni, które można znaleźć w substancjach protoplazmatycznych, na przykład u ameb.

Diane przerwała mu:

— A-a. Dziura w przestrzeni! To brzmi niewiarygodnie! Czy one są niebezpieczne?

— Wydaje się, że nie — ja odpowiedziałem na jej pytanie. — Wiele statków kosmicznych natknęło się na nie, ale w każdym przypadku statek w końcu znalazł sposób jej opuszczenia. Czasami jednak kończyło się to dużym zejściem z kursu. To dlatego *Slipstream* musi się z niej wycofać, i to szybko. — Uśmiechnąłem się szeroko. — Kiedyś, kiedy nie będę za bardzo zajęty, narysuję pani obraz wakuoli przestrzennej. Wygląda cudownie. Pełna nicości dziura – w niczym.

Kapitan Hanson wyglądał przez ekrany zbliżeniowe w mojej wieżyczce. Teraz wydał z siebie potężny ryk zachwytu.

— Widzę go! Widziałem jak jego rakiety rufowe rozbłysły na chwilę! O, jest… Nie! Wpadł w nią z powrotem!

Biggs wyjaśnił dziewczynie.

— Statek próbuje się wycofać. Jedynym problem polega na tym, że musi odwrócić ciąg silników i wyjść z dziury z przyśpieszeniem odpowiadającym temu, z którym wszedł do środka. Co oznacza…

— Co oznacza — przerwałem pełnym nadziei głosem — że jeszcze nie zostaliśmy pokonani, ludziska! Kiedy *Slipstream* wyrwie się z tej wakuoli, będzie miał cholernie duże przyśpieszenie w kierunku przeciwnym do Ziemi. Panie Biggs, jeżeli ominiemy wakuolę i będziemy lecieć dalej, być może uda nam się…

Ciągle stojący przy ekranie zbliżeniowym kapitan Hanson, teraz wykrzyknął:

— Na Boga, właśnie go przed chwilą znowu dostrzegłem! Ale powinniście zobaczyć, gdzie on jest! Ta wakuola chyba się wściekła! Zasuwa jak szalona…

— W którą stronę? — zawołał Biggs.

— Odchylenie na prawą burtę. Nigdy nie widziałem czegoś tak szybkiego jak ta galopująca dziura. Hej, pojawił się stary dobry *Slipstream*! Juupi! Dobra robota, panie kapitanie!

Wtedy ich zobaczyłem. Mknęli z powrotem w naszą stronę, jak wystrzał z punktowego lasera. Nie mogłem nie podziwiać sportowej duszy kapitana Hansona, który nawet wtedy gdy widział konkurencyjny statek wyrywający się z więzów, co mogło go kosztować przegrany wyścig, nie mógł się powstrzymać przed pochwałami dla klasy pilotażu jego nawigatora.

Teraz Stary zwrócił się do Lancelota Biggsa, a w jego oczach zapłonął ogień walki.

— Panie Biggs, to daje nam szansę walki o zwycięstwo w tym wyścigu! *Slipstream* będzie potrzebował całego dnia przyśpieszania, dla nadrobienia tego straconego czasu. Zmienię więc pana teraz w dowodzeniu…

Ale w oczach Biggsa pojawił się jakiś dziwny wyraz zamyślenia. Zapytał powoli:

— Czy powiedział pan, prawa burta, panie kapitanie?

— Co? O co chodzi? Tak, powiedziałem, prawa burta. No dobrze… słyszał mnie pan, panie Biggs? Postanowiłem nie być dla pana zbyt ostry. Zwalniam pana teraz z dowodzenia… zabieram *Saturna* do portu…

Zaś Lancelot Biggs oświadczył:

— Nie!

Zanim jeszcze kapitan Hanson skończył ciężko sapać – potem zdecydowałem, że było to sapanie, chociaż początkowo myślałem, iż są to symptomy apopleksji – Biggs podszedł do statkowego systemu komunikacji wewnętrznej i połączył się z mostkiem. Rzucił ostro do Todda:

— Panie Todd, proszę wykreślić nowe współrzędne, na przecięcie toru lotu wakuoli, najszybciej jak to tylko możliwe!

Wtedy sapnął również Todd, sapnąłem ja i Diane, a Stary ciągle jeszcze sapał od poprzedniego razu, zaś Lancelot Biggs odwrócił się twarzą do nas, odrobinę blady, trochę ciężko oddychając, ale z wyrazem dziwnej determinacji na twarzy.

— Wiem — powiedział, — wszyscy myślicie, że zwariowałem. No cóż, być może. Ale nie mam zamiaru oddawać mojego dowodzenia, oraz mam zamiar dokończyć ten wyścig w sposób, który będzie dla mnie jak najbardziej pomyślny…

Potem przełknął ślinę, odwrócił się i wyszedł niezdarnie na swoich szczudłach, z pomieszczenia. Powiedziałem: „Proszę, proszę!", zastanawiając się czy te słowa zabrzmiały tak głupio dla niej, jak brzmiały dla mnie.

Hanson otrząsnął się ze paraliżującego go osłupienia i wrzasnął tak, że sufit uniósł się co najmniej o półtora cala.

— Co na niebieski kosmos on ma zamiar zrobić? „Na przecięcie toru lotu wakuoli"! Szalony idiota! Czy on chce roztrwonić całą przewagę, jaką uzyskaliśmy?

— Proszę mnie nie pytać — odparłem ponuro. — Nie jestem esperem[1].

Moje urządzenie znowu zaczęło trzaskać; to wywoływał nas operator *Slipstreama*.

— Wydostaliśmy się, *Saturn* — przesłał. — Dziękuję za ustąpienie z kursu. Ale was również za bardzo zniosło. Lepiej uważajcie. Kierujecie się prościutko na wakuolę.

Odesłałem mu wiadomość.

— Chcemy tak zrobić — i przestałem zwracać uwagę na grad jego nieustannych pytań.

W mojej wieżyczce zapadła przeraźliwa cisza. Hipatomiki ponownie podjęły pracę; po sposobie ich wibracji można było powiedzieć, że ruszyliśmy pełną parą naprzód, w kierunku – czego?

Dowiedzieliśmy się. Nie wtedy, ani jeszcze nie przez kilka najbliższych godzin, ale w czasie obiadu. Właśnie zająłem swoje miejsce przy stole i kuchta już pochylał się nad moim ramieniem, nalewając mi zupę do miski, kiedy z maszynowni rozległo się wysokie, przeszywające wycie, światła zamigotały, coś poleciało z hukiem i szczękiem – i dół zniknął z wszechświata.

Mój żołądek szarpnął się, przyprawiając mnie o mdłości, tak samo zrobiło pomieszczenie mesy, tak samo zrobił kuchta, no i oczywiście zupa. Mniej więcej czterech nas skłębiło się na podłodze. Kiedy się pozbierałem, wszędzie na sobie miałem letnie purée z warzyw, a we włosach miałem tyle klusek w kształcie literek, że można by mnie było wypożyczać w bibliotece publicznej.

Wrzawa dokoła była niesamowita, ale wszystkie te krzyki sprowadzały się do jednego; pytania w sposób godny podziwu oznajmionego przez naszego kiepskiego kuchtę okrętowego, który wrzasnął ile miał sił w płucach:

---

[1] Esper – wróżbita, który utrzymuje się z przepowiadania przyszłości, używając swojej „ekstra-zmysłowej percepcji" (przyp. red. Amazing Stories).

— Co się tu dzieje!

Odparłem ze znużeniem.

— Koledzy, pozwijcie mnie do sądu, jeśli się mylę. Ale myślę, że nasz szurnięty nawigator, pan Biggs, w końcu wprowadził nas w wakuolę…

Najzabawniejsze w tym wszystkim było to, że Biggs się tym w ogóle nie przejął! Wygłosiłem kilka serdecznych uwag do jedzenia, a potem podskoczyłem na mostek, żeby się dowiedzieć co – jeśli w ogóle cokolwiek – Biggs miał zamiar zrobić z tą nową katastrofą.

Odpowiedź była oczywista. Absolutnie nic. Blady na twarzy, ale ciągle ze zdeterminowaną miną, siedział w sterówce w fotelu pilota, z uporem kręcąc głową, podczas gdy kapitan Hanson, porucznik Todd, główny mechanik Garrity i wszyscy inni znajdujący się na pokładzie statku oficerowie, bombardowali go błaganiami „niech pan coś zrobi!”.

— Panowie — oznajmił, — panowie, proszę pamiętać, że kapitan Hanson przyznał mi zaszczyt, prowadzenia nawigacji w trakcie tego rejsu. Jako nawigator mam prawo robić wszystko, co uznam za najlepsze…

Todd, który lubił Biggsa, powiedział nerwowo:

— Ale, Lanse, jesteśmy dokładnie w środku wakuoli! Czy nie masz zamiaru wydać rozkazu wycofania się? Musimy się stąd wydostać. Bóg jeden wie…

Kapitan Hanson był purpurowy z bezsilnej wściekłości.

— Poczekaj tylko! — wrzasnął. — Poczekaj tylko, aż znajdziemy się z powrotem na Ziemi! Mam zamiar wywalić cię ze służby, zaraz kiedy tylko… — Na jego twarzy pojawił się dziwny wyraz. — Boże! Kiedy my wrócimy na Ziemię! Możemy nawet nigdy tam nie dotrzeć, jeśli czegoś szybko nie zrobimy!

Lancelot Biggs oświadczył:

— Odrobina cierpliwości, panowie!

Garrity zaczął go napominać mentorskim tonem:

— Posłuchaj, młodzieńcze – może nie rozumiesz, w jakich znaleźliśmy się kłopotach? Bądź dobrym chłopcem i pozwól kapitanowi przejąć stery…

Lancelot Biggs powtórzył:

— Proszę o odrobinę cierpliwości. Chętnie bym to wszystko wyjaśnił, ale myślę, że lepiej tego nie robić! Jeszcze nie – w każdym bądź razie.

Kapitan popatrzył na mnie. Dorzuciłem swoje trzy grosze.

— Panie Biggs — przekonywałem go — potrafi pan przecież czytać te mapy na ścianie. Czy nie widzi pan, że zostaliśmy zniesieni z kursu o setki tysięcy mil? Ta wakuola porusza się po torze prowadzącym na prawo od naszego kursu, pędząc z nienormalnie wysoką prędkością – a my siedzimy w niej, jak mucha w bursztynie. Już przegraliśmy nasz wyścig; a niebawem przegramy również nasze… — przerwałem, nie chcąc w obecności Diane powiedzieć „życie”.

Lancelot spojrzał na mnie posępnie.

— Można by pomyśleć — stwierdził, — że ty powinieneś to zrozumieć, Sparks. Przy twoim wykształceniu i wiedzy… — Ale wydawał się wahać. Popatrzył na Diane. — Diane – ty we mnie wierzysz, prawda?

Naprawdę, muszę wam powiedzieć, że ta dziewczyna wiedziała co to oznacza. Minęła długa chwila, podczas której Diane wpatrywała się prosto w oczy Lancelota Biggsa. Co tam znalazła, tylko ona mogłaby wam powiedzieć. Ale…

— Tak, Lancelocie — odparła. — Ufam ci.

Ramiona mu się wyprostowały, tak o najdrobniejszą odrobinę. A na kącikach jego warg zagościł leciuteńki uśmiech. Oznajmił:

— To wszystko, co chciałem usłyszeć. Bardzo dobrze, panowie, proszę o zachowanie cierpliwości, jeszcze zaledwie przez dziesięć kolejnych godzin…

Prawdę mówiąc, zdecydowanie najgorszą cechą pochwycenia przez wakuolę, jest kompletna izolacja od całej reszty wszechświata. Te superprzestrzenne obszary; te martwe punkty hiperpustki, nie poddają się zwyczajnym prawom mechaniki kosmosu. Przez wakuolę nie można transmitować fal radiowych; jedynymi prawami, które zdają się do nich stosować, są prawa ruchu i względności.

Tym razem, nawet zasady relatywistyki wydawały się pójść w diabły. Lancelot Biggs domagał się, byśmy zachowali cierpliwość przez dziesięć godzin – ale dla mnie te dziesięć godzin zdawało się trwać tyle, co dziesięć wieków. Sekundy wlekły się. Minuty ciągnęły. Godziny były wręcz fantastycznymi odstępami czasu. Człowiek niemalże mógł siedzieć bez ruchu i czuć, jak włosy siwieją mu na głowie.

Próbowałem czytać książkę i poddałem się, kiedy odkryłem, że czytam ponownie tę samą stronę po sześć razy. Potem zająłem się moimi urządzeniami radiowymi, ale udało mi się z nich wydobyć tylko dziwny, śpiewny, nieziemski szum. Miałem wrażenie cielesnego zawieszenia, tak jakbym był bezmyślnym zwierzęciem, zamkniętym w windzie, unoszącej się przez ciemność, zmierzając do jakiegoś niepojętego miejsca przeznaczenia.

Jezu, zaczynam wpadać w poetycki nastrój. W każdym razie, tak właśnie się czułem i jeżeli chcielibyście więcej się o tym dowiedzieć, to zajrzyjcie do portu kosmicznego IPS na Long Island o zapytajcie o Berta Donovana!

Udało mi się zabić parę godzin próbując obliczyć, dokąd do tego czasu doleciał *Slipstream*. Tak jak powiedziałem, potrzebował on pięciu dni na cały rejs. Ale stracił niemal pełen dzień, kiedy władował się na wakuolę – naszą wakuolę – i pomimo faktu, że teraz na pewno wyciskał każdą kroplę energii, nie mógł pokonać trasy w czasie krótszym niż pięć i pół dnia.

Co, oczywiście, w niczym nam nie pomagało. *Saturn* normalnie potrzebował dziesięciu dni. Teraz, po schwytaniu przez wakuolę, pytanie brzmiało: kiedy, jeśli w ogóle kiedykolwiek, wrócimy na naszą trajektorię.

Najbardziej zastanawiało mnie to, że w przeszłości przywykłem do spoglądania na Lancelota Biggsa, jak na kogoś w rodzaju geniusza. Tak jak wtedy, gdy uratował nasz statek przez Runtem Hake i jego bandą piratów. Teraz jednak zdawał się zapaść w kompletne odrętwienie; blada twarz i uparte milczenie były jedyną odpowiedzią na pytania o powody rezygnacji z walki.

No cóż, to była jego sprawa, nie moja. Wiedział co robi i teraz niech sam dokończy całą sprawę! Jeszcze raz popatrzyłem na zegar. Minęło dziewięć godzin, nawet odrobinę więcej. Tak więc ruszyłem spacerkiem na mostek.

Wszyscy na nim się znajdujący, byli kompletnie roztrzęsieni poza panem Biggsem i Diane. Zupełnie ignorując otaczających ich ludzi, siedzieli przytuleni do siebie przy stole z mapami, czytając poezję! Kapitan Hanson obgryzł paznokcie na palcach, aż do wysokości drugiego członu. Dick Todd krążył po sterówce, jak schwytany w niewolę żbik. Powiedziałem, w miarę delikatnie:

— Panie Biggs… dziesięć godzin niemal już upłynęło.

— Mmmm! — odparł Lancelot Biggs.

Kapitan Hanson zwrócił się do niego gwałtownie:

— Dobrze! Dobrze! Człowieku, zrób coś w końcu! A ty, Diane, wstyd mi za ciebie! Siedzisz tu przez cały czas z tym… tym bęcwałem, wiszącym ci na ramieniu!

Diane wstała, lekko się uśmiechając.

— Niech więc będzie, że jestem już taką nieporządną dziewczyną. No dobrze, Lancelocie, pokaż im!

Biggs wstał. Popatrzył uważnie na zegar; potem na odległościomierz. Podszedł do panelu systemu komunikacji wewnętrznej i przekazał wiadomość na dół, do maszynowni.

— Panie Garrity, będzie pan tak uprzejmy i obróci statek?

Hanson wrzasnął:

— Ob… obróci sta…! Hej! Łapać go, kto może! Dostał obłędu kosmicznego! Zupełnie mu odbiło!

Z dołu doleciał odgłos wkraczających do akcji rotorów. My, oczywiście, niczego nie poczuliśmy. Sztuczna grawitacja statku przyciska człowieka mocno do podłogi, niezależnie od tego, gdzie jest dół i góra w rzeczywistej przestrzeni. Nie tak już bywało. Po minucie, Biggs przekazał:

— Dziękuję, panie Garrity. A teraz będzie pan uprzejmy odwrócić grawy i wyrzucić promienie odpychające górnego pokładu.

Garrity wykonał rozkaz. Szarpnął nami nagły wstrząs; wszystko co mogło się poruszyć w sterówce, poruszyło się. Włączając w to i mnie. Poleciałem na środek pomieszczenia, wisząc w powietrzu, nieważki, tak samo jak wszyscy pozostali. *Saturn* zatoczył się i zadrżał; wydawało się jakby przez krótką chwilę jakieś drżenie przebiegło wzdłuż jego belek.

Potem, nagle, znowu dosłownie pędziliśmy przez kosmos! Przez rzeczywistą przestrzeń – nie przez to kiepskie hiper-coś wnętrza wakuoli. Biggs krzyknął:

— Panie Garrity, normalne grawy! Zmienić kurs na przecinek-sześć-jeden na trzy minuty, a potem podejść do lądowania…

Kapitan Hanson wrzasnął:

— Co u dia… Co tu się dzieje? Lądowania? Co pan przez to rozumie – lądowania!

— Czy mógłby być pan tak uprzejmy i spojrzeć na ekrany zbliżeniowe, panie kapitanie…

To była Ziemia. Wielka jak samo życie i trzy razy piękniejsza niż zwykle. Podskakiwała i dygotała pod nami. Pokonaliśmy trasę z Wenus na Ziemię w cztery dni i osiem godzin!

Kiedy już komitet rządowy opuścił statek, gratulując nam zdobycia przydziału, a oficjele IPS ruszyli ich śladem, jak trzy przerośnięte słoneczniki na nogach, Hanson, Todd, Diane, Biggs i ja, pozostaliśmy sami w wieżyczce sterowniczej *Saturna*.

Kapitan Hanson powiedział wówczas do uśmiechniętego pierwszego oficera:

— Biggs, to całe przepraszanie pana po każdej zwariowanej awanturze, zaczyna robić się nudne. Ale jestem zmuszony to ponownie zrobić – pod warunkiem, że powie mi pan co u diabła się tu wydarzyło.

Biggs wiercił się niespokojnie i wyglądał na zdenerwowanego.

— No cóż, żeby pod czegoś zacząć, wiedziałem że jeśli spróbujemy ścigać się ze *Slipstreamem* w normalny sposób, będziemy załatwieni…

— Poprawne określenie — wtrąciłem się — brzmi: po uszy w szambie.

— Tak. A więc, kiedy zobaczyłem co się stało ze *Slipstreamem*, kiedy wpadł na wakuolę, dostrzegłem sposób w jaki niewykluczone, że moglibyśmy wydostać się na powierzchnię. Nie chciałem go jednak z góry wyjaśniać, ponieważ gdyby metoda zawiodła, kapitan Hanson mógłby dostać po głowie za to, że zezwolił na tę próbę.

— Metoda? — dopytywał się Hanson. — Jaka metoda?

— Jazda na barana! — uśmiechnął się szeroko Biggs. — Pamiętacie, jak komentowaliśmy zadziwiającą prędkość, z jaką wakuola poruszała się przez kosmos. Prędkość większą niż nasza własna, większą nawet niż *Slipstreama*. Celowo wprowadziłem *Saturna* w wakuolę. *Slipstream* złapany przez tę samą sferę hiperprzestrzeni, popełnił błąd wycofując się i uwalniając z niej. Ja wykorzystałem wakuolę, żeby zaniosła nas na Ziemię. Proste jak drut!

Hanson stwierdził oszołomiony:

— Proste? Co? Metoda, czy ja? Zrobił pan tak wiele dziwnych rzeczy – na przykład wydostaliśmy się z wakuoli, bez wycofywania się na ciągu wstecznym. Jak?

— Och, to! No cóż, to tylko niewielki drobiazg, który wymyśliłem, kiedy czekaliśmy. Pomimo wszystko najłatwiejszym sposobem wydostania się z kieszeni, jest pozwolić się z niej wyrzucić. Odwróciłem więc płyty grawitacyjne i pozwoliłem aby Ziemia, której położenie określiłem matematycznie, jako „nad nami”, przyciągnęła nas i w ten sposób wysunęła z kieszeni. Ponieważ w kosmosie nie ma „góry” ani „dołu”, po prostu wypadliśmy z kieszeni wakuoli!

— Doszło — oznajmił z podziwem kapitan Hanson. — Taaa, w końcu doszło. No co, chłopcy?

Obrzucił nas znaczącym spojrzeniem. Wiedziałem, o czym myśli. Diane i Biggs, wykazywali niedwuznaczne oznaki, że chcieliby zostać sami. Ale była jeszcze jedna sprawa…

— Niech pan posłucha, panie Biggs — powiedziałem. — Pańskie wyjaśnienia są w porządku, ale nie wytłumaczył pan tej sprawy z kierunkiem! Wakuola nie leciała wzdłuż linii naszej trajektorii Wenus-Ziemia. Odbijała na prawą burtę o piętnaście stopni, dzięki czemu udało nam się przeciąć jej drogę. Jakim cudem…

Lancelot Biggs wyglądał na lekko zaskoczonego.

— Sparks, i ty tego się nie domyśliłeś? To właśnie dzięki temu możliwe było wykorzystanie przez nas tej zdumiewającej prędkości. Dla nas, lecących po naszej dziesięciodniowej trajektorii, wyglądało tak, jakby wakuola poruszała się na prawo od Ziemi. W rzeczywistości, leciała idealnie prosto w stronę miejsca, w którym Ziemia miała być za dziesięć godzin. Można to porównać, w pewnym sensie, do pociągu ekspresowego, pędzącego skrótem. Wskoczyliśmy do pociągu i – jesteśmy tutaj!

Z miejsca gdzieś pod jego ramieniem, doleciało lekkie kaszlnięcie. Potem miękki głos oznajmił:

— Sparks…

— Tak, panno Diane?

— Sparks, czy byłbyś łaskaw zamknąć za sobą drzwi na korytarz, od drugiej strony? — spytała Diane Hanson.

I tak właśnie zrobiłem. Potrafię zrozumieć delikatną sugestię, tak samo jak każdy inny zwykły facet…

KONIEC